

Wiktor Kaźmierowicz

Okruchy wspomnień z czasów studiów odbywanych w Politechnice Wrocławskiej w latach 1945-1950.

Po odzyskaniu niepodległości spod okupacji niemieckiej, zdałem sobie sprawę, że w zaistniałej sytuacji politycznej najwłaściwszą dalszą drogą życiową może być jedynie nauka. Problemem było tylko dostanie się na studia.

Warszawa była rozbita, a ośrodki naukowe miały bardzo ograniczone możliwości działania. Powstałe w Łodzi uczelnie zawałone były podaniami kandydatów na studia. Jednakże dotarła do mnie wiadomość, że ze Lwowa mają być przeniesione do Wrocławia Uniwersytet i Politechnika, bo chociaż miasto uległo podobnemu zniszczeniu co Warszawa, to zarówno Uniwersytet Wrocławski i Hoch Schule (Politechnika) doznały minimalnych zniszczeń. W tej sytuacji mój wybór padł na Wrocław. Z dużymi trudnościami i przygodami dotarłem do niego 15 sierpnia 1945 r. z Płocka.

W głównym gmachu Politechniki odszukałem punkt informacyjny. Uzyskałem w nim niezbyt dla mnie pocieszącą wiadomość. O ile sprawa otwarcia Uniwersytetu Lwowskiego była już przesądzona, to kwestia otwarcia politechniki była jeszcze nie rozstrzygnięta, gdyż o tę lokalizację ubiegały się również Gliwice, które ofiarowywały znaczne kwoty pieniężne na ten cel. Mnie interesowały wyłącznie kierunki techniczne. Dowiedziałem się również, że już działa „Bratniak”, który znajduje się przy ulicy Curie-Skłodowskiej, niedaleko Mostu Zwierzynieckiego. Niezwłocznie udałem się pod ten adres. W dużym pokoju zastałem grono osób obojga płci, żywo ze sobą rozmawiających, prawdopodobnie dobrze się już znali. Funkcję sekretarki pełniła bardzo miła i sympatyczna osóbka, Basia Sendal, która pochodziła z Zagłębia i miała zamiar studiować medycynę. Chętnie i z uśmiechem udzielała informacji i właściwie to od niej dowiedziałem się wszystkich interesujących mnie spraw. Między innymi, jakie mają być wydziały na obu uczelniach, jacy profesorowie będą nimi kierować, kto jest przewidziany na rektora. Dowiedziałem się również od niej, że funkcjonują już na Sępolnie domy akademickie, częściowo zamieszkałe przez osoby zatrudnione ochotniczo w straży akademickiej oraz przy pracach porządkowych. Najbardziej ucieszyła mnie wiadomość, że „Bratniak” prowadzi stołówkę znajdującą się na nabrzeżu Starej Odry, po drugiej stronie Mostu Szczytnickiego. Od razu stałem się jej bywalcem a w „Bratniaku” byłem stałym gościem. Zawierałem nowe znajomości, poszerzał się krąg kolegów. Tam poznałem

wiceprezesa „Bratniaka” – Jurka Damasa, tryskającego niezniszczalną energią i pomysłami, z którym się później zaprzyjaźniłem. Tam również zawarłem znajomość ze skarbnikiem, kolegą Kopciem, zwanym powszechnie „Tatą”. Był to student czwartego roku prawa na Uniwersytecie Lwowskim. Poczułem, że powoli zaczynam wnikać w ten formujący się świat akademicki, że jestem już prawie studentem.

W międzyczasie udało mi się załatwić mieszkanie kwaterunkowe i odpadł jeden z moich głównych problemów. Wkrótce odpadł i drugi, gdy zapadła ostateczna decyzja o powołaniu we Wrocławiu byłej Politechniki Lwowskiej. Pierwszym rektorem obu uczelni został profesor Stanisław Kulczyński. Nieco później Politechnika wydzieliła się, a na jej rektora powołano profesora Dionizego Smoleńskiego.

Zostałem przyjęty na Wydział Hutniczy. W połowie listopada 1945 roku odbył się pierwszy inauguracyjny wykład dla studentów z Wydziałów Chemii i Hutniczego, z chemii nieorganicznej. Sala wykładowa „zabita” była do ostatniego miejsca, a warunki panujące w niej – zimowe. Z braku bowiem opału pomieszczenie było nie ogrzewane, a temperatura w niej w pobliżu zera. Słuchacze siedzieli w paltach, szalikach i rękawiczkach, z gołymi tylko głowami. Wykład prowadził profesor Włodzimierz Trzebiatowski. Był to pan w wieku około pięćdziesięciu lat. Wysoki, szczupły, prosty jak struna. Wianuszek siwych włosów otaczał jego głowę a pod nosem miał krótko przystrzyżony wąs. Mówił wolno, nosowym głosem, nie wymawiając litery „r”. Ten pierwszy wykład szczególnie zapamiętałem, gdyż był dla mnie pierwszym wykładem na studiach jak również ze względu na scenerię, w jakiej się odbywał.

Po rozpoczęciu roku akademickiego odbyły się od razu wybory starostów poszczególnych wydziałów. Ku mojemu zaskoczeniu lecz i satysfakcji, wybrano mnie na starostę Wydziału Hutniczego. Jego dziekanem został profesor Jerzy Zwierzycki, starszy już wiekiem pan, bardzo miły i delikatny w obejściu, o bardzo bogatym dorobku naukowym z dziedziny geologii. Dłuższy czas spędził w Indiach Holenderskich, zatrudniony tam przy poszukiwaniach złóż ropy naftowej. Ilekroć przychodziłem do niego w sprawach naszego Wydziału to częstował mnie kawą i opowiadał o swej pracy i przeżyciach jakie wyniósł z tego egzotycznego zakątka świata.

Na pierwszym roku studiów otrzymywaliśmy pomoc z UNRY w postaci paczek żywnościowych i odzieży. Każdy student dostawał po jednej paczce (była to dzienna porcja amerykańskiego żołnierza). Ważyła około trzech kilogramów. Na jej zawartość składały się różne konserwy mięsne, suchary, mała puszcza neski oraz w małych saszetkach proszki smakowe do wody pitnej, a nawet rolka papieru toaletowego. Odzież rozdzielana była

komisyjnie, w miarę możliwości zgodnie ze zgłoszonym w podaniu życzeniem. W ciągu roku trzykrotnie rozdano takie paczki a z odzieżą była tylko jedna akcja.

Świat profesorski, z jakim spotkałem się w czasie tych pięciu lat studiów był zróżnicowany zarówno w sposobie prowadzenia zajęć dydaktycznych, stosunku do studentów, temperamentu a nawet w sposobie ubierania się.

Dla mnie najbardziej fascynującą postacią była osoba profesora Włodzimierza Trzebiatowskiego. Na pierwszym roku studiów był to próg, przez który nie przebrnęło przeszło 30% studentów. Reszta już bez większych kłopotów dotrwała do dyplomu. Kostyczny, mało przystępny, wykłady prowadził głosem monotonnym, nosowym lecz z doskonałą dykcją i precyzyjnie formułował zdania. Podczas wykładów, demonstrowanych często eksperymentami, nic go nie potrafiło wyprowadzić z równowagi.

Pewnego razu miał wykład na temat suchej destylacji węgla prezentowanej doświadczeniem. Asystenci wcześniej zestawili aparaturę i przystąpili do ogrzewania retorty ze znajdującym się w środku drewnem. W szklanej, kulistej kolbie smolista ciecz była rozdzielana od tworzących się gazów. Eksperyment trwał, wykład się toczył i nagle błysk, ogłuszający huk i brzęk rozpryskującego się szkła, a zza obłoku dymu i pary dochodzący monotonny, spokojny głos profesora, objaśniający przyczyny owej eksplozji.

Przeciwnieństwem profesora Trzebiatowskiego był profesor Błażej Roga. Odnosiło się to zarówno do wyglądu zewnętrznego, do którego nie przywiązywał żadnej wagi, jak i do sposobu prowadzenia wykładu. Wykłady profesora były nużące. Zwrócony twarzą do tablicy wypisywał ujęte w dziesiątki rubryk tasiemce cyfr, dotyczących chemicznych i fizycznych własności różnych odmian węgla i koksów, objaśniając wszystko szemrzącym, cichym głosem. Ten cichy i z wyglądu niepozorny człowiek był nie tylko bardzo cenionym naukowcem w swojej dziedzinie lecz również znany był za granicą. Metody klasyfikacji węgla koksujących profesora Rogi obowiązywały w świecie. Jeżeli pojechało się na Śląsk, do kopalń i hut, to powołanie się na profesora Rogę otwierało drzwi do wszystkich gabinetów dyrektorskich.

Jeszcze innym był profesor Ludwik Chrobak, który prowadził zajęcia z krystalografii i mineralogii. O ile przedmiot nie był dla mnie zbyt interesujący, to narracja była fascynująca. Profesor był urodzonym gawędziarzem i w swój wykład wplatał opowieści ze swych wypraw międzynarodowych, między innymi na Alaskę w celu przeprowadzenia badań nad strukturą krystalograficzną lodowców. Przypadkowo bliską znajomość zawarłem z profesorem w Wydziale Komunikacji Urzędu Miasta Wrocławia przy odbiorze prawa jazdy. Profesor na

samochód a ja na motocykl. Czekając tam w ogromnej kolejce na ich odbiór profesor opowiedział mi zabawną historię, jaka przytrafiła mu się już we Wrocławiu. Przy repatriacji ze Lwowa do Wrocławia jedyną cenną dla profesora rzeczą był zbiór minerałów, jakie zgromadził podróżując po świecie. Zapakował je do plecaka, który jak oceniał, ważył około 50 kg. Po przyjeździe do Wrocławia zostawił wór w poczekalni dworcowej i poszedł szukać jakiegoś transportu. Gdy powrócił, plecaka już nie zastał. Zmartwiony poszedł do najbliższego posterunku MO zgłosić kradzież. Milicjant wziął od niego adres i obiecał pomoc. Po jakimś czasie, nieoczekiwanie profesor dostaje wezwanie na posterunek milicji. Gdy przybył, z niedowierzaniem zobaczył swój plecak z minerałami. Milicjant, zwracając go profesorowi powiedział, że do plecaka została dołączona przez złodzieja kartka. Było w niej napisane: „widziałem już wielu wariatów ale takiego co nosi pół metra kamieni na plecach, to jeszcze nie. Idź z głową do doktora, frajerze”.

Nadmienić należy, że wygląd profesora był niezwykle malowniczy. Nosił na nogach buty na podwyższonym obcasie, z długimi miękkimi cholewami, w które wpuszczone były bufiaste spodnie. To czyniło go podobnym trochę do Cygana a trochę do Kozaka. Chodził też w kraciastej kurtce z szalikiem zarzuconym zwykle jednym końcem na plecy.

Barwną postacią był profesor matematyki, Hugo Steinhaus, światowej sławy naukowiec. Przed wojną związany był z Uniwersytetem Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie razem z profesorem Stefanem Banachem stworzyli tzw. Lwowską Szkołę Matematyczną. Świetny erudyta i niezrównany szachista. Poza matematyką interesował się wielu innymi dziedzinami nauki a na dodatek obdarzony był subtelnym lecz złośliwym dowcipem. Gdy we Wrocławiu odbywał się Światowy Kongres Intelktualistów, pytany dlaczego nie wziął udziału w uroczystych powitaniach na lotnisku, odrzekł: „byłem chory fizycznie lecz na pewno zdrowy umysłowo”. Gdy Wydział Hutniczy organizował zabawę i jako starosta poszedłem profesora zaprosić na nią, bardzo mi za to podziękował i jednocześnie przy pożegnaniu poprosił, żeby w zaproszeniu napisać: „Hugo Steinhaus a nie Steinhaus Hugo, jak jest teraz w zwyczaju, żebym się nie poczuł jak rekrut powoływany do wojska”.

Najsilniej i na długo związał mnie los z panem profesorem Zdzisławem Ziołkowskim, byłym absolwentem Politechniki Lwowskiej, którą ukończył jeszcze przed wojną. Jego zdolności dostrzegł wtedy profesor Pilat (pionier nowej dziedziny wiedzy chemicznej, która obecnie zwie się inżynierią chemiczną) i zatrudnił go u siebie jako asystenta, a później wysłał na roczny staż do amerykańskich rafinerii ropy naftowej. Po wojnie profesor Ziołkowski osiadł w Oświęcimiu i kierował tam rozbudową Zakładów Chemicznych. W 1947 roku objął

Katedrę Inżynierii Chemicznej. Na wykłady profesor dojeżdżał do Wrocławia co dwa tygodnie. Mówił z lwowskim akcentem. Jego wykłady, pomimo skomplikowanych wzorów i równań były jasne i zrozumiałe, przy tym ilustrowane dużymi planszami z rysunkami aparatów i urządzeń stosowanych w przemyśle chemicznym. W połowie trzeciego roku profesor zaproponował mnie i koledze Stasiowi Szczerbie pracę na stanowiskach asystentów, którą z radością przyjęliśmy. Nieco później doszedł do nas jeszcze z Wydziału Mechanicznego Romek Koch. Jego głównym zadaniem było rysowanie owych plansz, a Szczerba i ja prowadziliśmy ze studentami ćwiczenia rachunkowe. Romek był bardzo sympatycznym i uczynnym kolegą o łagodnym i pogodnym usposobieniu. Znacznie później, już jako profesor Romek objął po profesorze Ziolkowskim Katedrę Inżynierii Chemicznej.

Wówczas podejście większości profesorów do trudności, na jakie często natrafiali studenci cechowała pełna wyrozumiałość. Między innymi taką wyrozumiałość dla mnie i mojego przyjaciela Bogdana Karabona okazał pan profesor Turczyński, wykładowca fizyki. Był jednym z najmłodszych wówczas wykładowców lecz niestety już poważnie zagrożony gruźlicą. Gdy po wakacjach zgłosiliśmy się do niego na egzamin, którego nie zdążyliśmy zdać prze feriami dowiedzieliśmy się, że profesor przebywa w sanatorium na leczeniu w Kudowej Zdroju i nie wiadomo kiedy wróci na zajęcia. W jakiś sposób uzgodniliśmy z profesorem, że przyjmie nas na egzamin w sanatorium. Był to już koniec września lecz jeszcze bardzo ciepło i wspaniale dopisała pogoda. Egzamin zdawaliśmy w parku zdrojowym na ławeczce. Z mozołem odpowiadaliśmy na pytania zadawane przez egzaminatora podczas gdy po parku spacerowali w ciszy i spokoju liczni kuracjusze. Profesor niestety już nie wrócił na Politechnikę, a w następnym roku zmarł. Jest to dla mnie do dziś niezapomniany egzamin.

Po raz drugi z podobną wyrozumiałością spotkałem się razem z koleżanką Alinką Białoskórką (jej panieńskie nazwisko). Byliśmy już na czwartym roku studiów, tuż przed dyplomem. W sesji letniej nie zdążyliśmy się przygotować do trudnego egzaminu z Technologii Nafty i Paliw Płynnych u profesora Zdzisława Tomasika. Ponieważ czas gonił, poprosiliśmy profesora, czy mógłby nas przyjąć u siebie w domu. Pan profesor mieszkał w Oświęcimiu i pracował tam w Zakładach Chemicznych, a na wykłady dojeżdżał do Wrocławia. Profesor bez najmniejszego wahania zgodził się nas przyjąć. Byliśmy skrępowani, gdy profesor przyjął nas jako gości a nie jako studentów zabierających mu wolny czas. Na werandzie poczęstował nas kawą i ciasteczkami zabawiając rozmową. Nie wiadomo nawet kiedy ta rozmowa przeistoczyła się w egzamin. Profesor Tomasik wojnę spędził w Anglii. W

problemach technologii nafty i paliw płynnych posiadał rozległą wiedzę a jego wykłady były jasne i zrozumiałe. Był ujmujący i elegancki w sposobie bycia.

W naszym świecie akademickim zdarzały się różne historie: i poważne i smutne i tragiczne i śmieszne.

Pewnego dnia, pod koniec zimy 1946 roku, tuż przed rozpoczęciem wykładu wpadł na salę jakiś student z wiadomością, że sowiecki żołnierz zastrzelił licealistę z jedynego wówczas liceum mieszczącego się przy ulicy Poniańskiego, i że organizuje się studencki pochód manifestacyjny. Starosta Wydziału Chemicznego i ja, jako starosta Wydziału Hutniczego uzgodniliśmy błyskawicznie ze studentami zgromadzonymi na sali, że również weźmiemy udział w pochodzie. Na dziedzińcu Politechniki zbierały się już grupy studentów z innych wydziałów. Wkrótce ruszyliśmy do ulicy Curie-Skłodowskiej, gdzie dołączyli do nas medycy oraz studenci Akademii Rolniczej. Ogromny pochód skierował się ulicą Nowowiejską w kierunku liceum. Po dotarciu na plac szkolny zostały złożone kwiaty i gdy prezes „Bratniaka” rozpoczął przemówienie, nagle ze wszystkich stron placu wtargnęli żołnierze KBW w hełmach na głowach i z karabinami z nasadzonymi na nich bagnetami. Na plac wjechał jeepem dowódca. Był to pułkownik Rubinstein, szef wrocławskiego KBW. Stał w samochodzie i rozpoczął krzykliwym głosem przemowę pełną rusycyzmów, oskarżając nas o faszystowskie zachowanie i wrogość wobec Związku Radzieckiego, jednocześnie wzywając do rozejścia. Słuchając go, nie wytrzymałem i dość głośno zawołałem do stojących obok kolegów: „trudno dłużej słuchać, co ten taki syn pieprzy” i w tym momencie poczułem, jak mnie ktoś silnie chwycił pod rękę i śpiewnym głosem powiedział: „nu, a teraz zobaczymy, kto kogo będzie pieprzył”. Kawał rośłego draba w cywilnym ubraniu, cały czas trzymając mnie pod rękę, wyprowadził na ulicę, gdzie stały zaparkowane ciężarówki i oddał w ręce jakiegoś podoficera, szepcząc mu coś na ucho. Nie zdążyłem jeszcze ochłonąć, gdy zjawił się nowy „goryl”, trzymając pod rękę kolegę z Wydziału Mechanicznego, Henryka Hawrylaka i również oddał go w ręce tego samego podoficera. Staliśmy tak, nie odzywając się do siebie i słuchając odgłosów dochodzących z placu. Słyszeć było coraz bardziej podniesione głosy a potem jedną wielką wrzawę. Wszystko to przeciągało się w czasie. W pewnym momencie do pilnującego nas podoficera podbiegł jakiś cywil i coś mu powiedział, a ten podniesionym głosem rozkazał nam wrócić na plac. Tam się dopiero dowiedziałem, że źródłem owej wrzawy były studentki, które protestowały przeciwko naszemu zatrzymaniu wołając, że studenci nie opuszczą placu dopóki my nie zostaniemy uwolnieni. Im to właśnie zawdzięczamy, że w całości wynieśliśmy z tej awantury nasze skóry.

Zdarzały się też zabawne historie. Na pierwszym roku studiów nie było jeszcze indeksów a posługiwaliśmy się kartami egzaminacyjnymi bez zdjęć. Wówczas zetknąłem się po raz pierwszy z pojęciem „studenta-murzyna”, tzn. studenta, który za wynagrodzenie zdawał za innego kolegę egzaminy. Wtedy wydarzył się ten dość zabawny incydent. Jego świadkiem był mój przyjaciel, którego nie można było posądzać o konfabulowanie. Dla zaliczenia matematyki za pierwszy semestr należało zdać kolokwium u docenta Wilkońskiego. Do tego kolokwium mieli przystąpić studenci z kilku wydziałów. Wtedy na Wydziale Hutniczym, nie tyle studiował lecz był zapisany niejaki Ryszard (nazwisko przemilczę), popularnie zwany Mylord, gdyż jego zwykłym przywitanie było: „jak się masz mylord?” Interesowało go wszystko oprócz nauki, jednakże postawił sobie za cel zdobycie dyplomu za wszelką cenę.

Mylord, to postać jakby żywcem wyjęta z opowiadań Wiecha. Fizjonomia typowego warszawskiego cwaniaka z Powiśla i podobnie szemrana mowa, którą posługiwał się na co dzień. W celu przyspieszenia cyklu egzaminacyjnego docent Wilkoński wzywał do odpowiedzi dwóch delikwentów z różnych wydziałów i dawał na dwóch tablicach zadania do rozwiązania. Mylord wynajął sobie za „murzyna” jakiegoś studenta z Wydziału Budownictwa. Dla podkreślenia komizmu tej sceny należy parę słów powiedzieć o osobowości docenta Wilkońskiego. Był to pan już po pięćdziesiątce, bardzo skromny, delikatny, o wielkiej kulturze osobistej i wyrozumiały dla studentów. Według opowieści mego przyjaciela, egzamin miał następujący przebieg. Docent Wilkoński zaprosił do sali jego oraz owego, jak się potem okazało „murzyna” wynajętego przez Mylorda i każdemu z nich podyktował na tablicach zadania. Obaj rozwiązyali je bezbłędnie. Egzaminator zadał jeszcze każdemu po kilka pytań i uznał, że obaj egzamin zaliczyli. Następnie zwrócił się do towarzysza mego przyjaciela z pytaniem: „jak pana godność”, chcąc mu na swojej liście wpisać notę. Tu nastąpiła dramatyczna cisza. Chłopak zapomniał nazwisko zleceniodawcy. Szybko się jednak opanował, podbiegł do listy z nazwiskami sądząc, że w ten sposób przypomni sobie owo nazwisko. Począł biegać palcem po liście lecz bezskutecznie. Docent myśląc, że ten chwilowy zanik pamięci jest wynikiem ogromnego napięcia nerwowego, zaczął uspokajać biednego delikwenta, żeby się nie denerwował, gdyż egzamin ma zaliczony. Mój przyjaciel był również zaskoczony zaistniałą sytuacją i myślał podobnie jak docent, dopóki nie usłyszał zza zamkniętych drzwi głośniego szeptu z nazwiskiem Mylorda. Tymczasem student doprowadzony do ostateczności podał pierwsze lepsze nazwisko z listy, na którym zatrzymał

się jego palec. Było to nazwisko kolegi Bacika, który jak się potem przyznał, nie miał wcale zamiaru zdawać owego kolokwium. A tu zaliczył je i to z dobrym wynikiem.

Niestety, miały miejsce też i bardzo smutne wydarzenia. Takim była tragiczna śmierć Edwarda Popiela i to zaledwie w kilka dni po uzyskaniu dyplomu na Wydziale Mechanicznym. Był on bliskim krewnym mojej żony. Sympatyczny i wesoły Lwowiak, dusza towarzyskich zabaw. Gitarą i śpiewem ubarwiał nasze koleżeńskie spotkania. Wysoki, z czarnym wąsem był obiektem westchnień płci pięknej. Po uzyskaniu dyplomu dostał przydział do pracy w Zjednoczeniu Energetycznym, z natychmiastowym oddelegowaniem do Szczecina, do sporządzenia dokumentacji siłowni jakiejś szczecińskiej elektrowni. Przed wyjazdem wpadł jeszcze do nas, żeby się pożegnać. W kilka dni potem na Politechnikę dotarła okropna wiadomość. W elektrowni szczecińskiej, do której został oddelegowany Edek, podczas wykonywania prób wytrzymałościowych kotła, pękł rurociąg wysokoprężnej pary i jej strumień uderzył prosto w niego. Po południu słyszeliśmy w radio powtarzający się apel o leki dla umierającego Edwarda Popiela. Kilka dni później zmarł.

Znacznie później miało miejsce inne tragiczne wydarzenie. W katedrze profesora Trzebiatowskiego popełnił samobójstwo jego ulubiony asystent Janek Niemiec, trując się cyjankiem potasu. Do dziś nie wiadomo, co było tego przyczyną. Zawsze pogodny, lubiany i szanowany przez kolegów oraz bardzo ceniony przez profesora. Przyczyna jego śmierci pozostała tajemnicą.

Po uzyskaniu dyplomu i chwilowej euforii, nagle poczułem, że coś w moim życiu zmieniło się bezpowrotnie. Odeszło beztroskie życie studenckie. Odpłynęli bliscy przyjaciele i koledzy, z którymi wesoło spędzaliśmy często czas, rozpędzeni po całej Polsce nakazami pracy. Po nich pozostała pustka i wielka niewiadoma, jak się ułożą moje losy w nowych, innych już warunkach.

W następnym roku pożegnałem się z bliską memu sercu Katedrą Inżynierii Chemicznej i ulubionym Wrocławiem, przenosząc się do Warszawy, do Instytutu Chemii Przemysłowej, w którym dotrwałem do emerytury.